Nr. 8 We Lwowie, 15 czerwca 1935 Rok 57



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

WYCHODZI 1-GO i 16-GO KAŻDEGO MIESIĄCA

LEOPOLD PAC-POMARNACKI

Toki naszych bekasów

W umyśle każdego prawie, zarówno doświadczonego nemroda, jak i adepta łowiectwa, wyraz „toki' wiąże się ściśle z okresem godów wiosennych ptaków z rzędu grzebiących, a przedewszystkiem cietrzewi i gluszców. W rzeczywistości jednak miano toków, w pojęciu wiosennej ekstazy miłosnej roznamiętnionych samców, można stosować i do całego szeregu innych reprezentantów naszej avifauny, przeżywających w początkach wiosny stan dziwnego podniecenia płciowego i w szczególny sposób rozbudzonego instynktu zachowania gatunku. Wyrazem i zewnętrznym przejawem uczuć, które rodzą się w tym okresie w każdym ptaku — jest właśnie jego śpiew, czy gra wiosenna, bardzo rozmaita i nadzwyczaj ciekawa, odkrywająca przed okiem bacznego obserwatora tajnię psychiki pierzastego romantyka, który w innym czasie o wiele trudniejszy jest do zauważenia i niechętnie uchyla rąbka tajemnicy swych obyczajów.

Taki właśnie śpiew wiosenny czyli tok spotyka się, jak już zaznaczyłem, nie tylko u kuraków, lecz i u innych ptaków i to zarówno łownych, jak i obojętnych dla myśliwego. Będzie nim ponury ryk bąka, rozlegający się wiosną na bagniskach, będzie urozmaicony śpiew szpaka niedawno przybyłego z południa, przeplatany wachlowaniem podniesionemi skrzydełkami, jak również donośny terkot grającego na suchej gałęzi dzięcioła, czy pełna najrozmaitszych odgłosów przyrody improwizacja sojki. A ciche świergotanie wygrzewającego się w słonecznym blasku samca-wrony, melodyjny gwizd skrzydeł kaczora-cyranki, czy świstuna, jak wreszcie śpiew mnóstwa drobnych ptasząt — nie są niczem innem, jak tylko właśnie pieśnią godową, czyli tokiem.

W niniejszym artykule wspomnę pokrótce o tokach naszych bekasów, które są niemniej ciekawe i charakterystyczne, niż gra gluszców lub cietrzewi, a o których ogół myśliwych wie stanowczo zamało. Literatura „bekasia" jest u nas jeszcze dotąd więcej niż uboga, chociaż naogół ziemie polskie obfitują w ród długodziobów, a pośród myśliwych posiadamy bardzo wielu wybitnych znawców tej zwierzyny.

Brak obserwacyj z życia bekasów da się częściowo wytłumaczyć tem, że ptaki te nie rzucają się w oczy ani wielkością, ani barwą upierzenia, a wydawane przez nie na toku głosy, za wyjątkiem jednego tylko krzyka, są dość nikłe i słyszeć się dają z nieznacznej zaledwie odległości, w przeciwieństwie np. do barwnych cietrzewi, których tok w pogodny ranek wiosenny słychać o kilka kilometrów. Dlatego też niejeden z właścicieli terenów często nie przypuszcza nawet, że posiada w swojem łowisku lęgowe słonki, lub dubelty, zwłaszcza, o ile występują one w małej tylko ilości, o obecności których dowiaduje się zazwyczaj przypadkowo w czasie polowań na inną jakąś

zwierzynę, chociaż wiedząc wcześniej o tem — z pewnością mógłby w czasie wiosny poczynić wiele ciekawych spostrzeżeń.

Z pośród czterech gatunków bekasów, zamieszkujących Polskę, najpopularniejszym bezsprzecznie jest tok największego z nich — słonki (Scolopax rusticola) zwany przez ogół myśliwych ciągiem. W początkach wiosny, bo pomiędzy 1-ym marca a mniej więcej połową kwietnia, w zależności od położenia geograficznego danej miejscowości, rozpoczynają słonki swe toki wiosenne, czyli ciąg. Na parę zazwyczaj godzin przed wschodem słońca, wylatują one z ukrycia wśród błot leśnych lub krzaków i zaczynają krążyć nad temi terenami, gwiżdżąc i chrapiąc. Ulubionemi miejscami, nad któremi słonki ciągną, są wielkie dunkty leśne, halizny, polany, brzegi lasów, zagajników i błotek. Ciągną one także nad zwartym olszniakiem, czy brzeziniakiem, wolą jednak miejsca bardziej odkryte. Toki słonek odbywają się również i wieczorem, a ciąg ten trwa znacznie dłużej od porannego, bo ranny kończy się z chwilą zapalenia się na niebie jutrzenki, wieczorny zaś przewleka się do nastania kompletnych ciemności, a zaczyna się w 10—20 minut po zachodzie słońca.

Słonki żyją w poligamji, czyli wielożeństwie. Samica, pędząca na wiosnę żywot samotny, z nastaniem zmierzchu, lub o brzasku wybiega krokiem z gąszczów leśnych na skraj polanki, czy dróżki, wzbija się w powietrze i sunie leniwym, wałęsającym się lotem nad okolicą. Z chwilą, gdy na swej podniebnej drodze spotka samczyka — rozpoczynają najrozmaitsze ewolucje, wiraże, gonitwy... Samczyk ściga swą wybrankę, dotyka jej pieszczotliwie dziobem, dogania ją, to znowu pozostaje nieco w tyle, chrapiąc i gwiżdżąc. Roznamiętnione ptaki śmigają jak strzały wśród czubów drzew, aż wreszcie zmęczona lotem samica osiada na ziemi i ulega natarczywemu małżonkowi, poczem ruszają w dalszą podróż. Samica ciągnie pierwsza, samczyk podąża za nią i często dostrzegłszy w pobliżu inną zalotnicę, znęcony jej wdziękami — opuszcza swą dotychczasową małżonkę.

Bywa czasami, że ciągnąca samica spotyka w swym locie kilku naraz samców. Wówczas wybuchają bójki powietrzne, w czasie których ptaki zczepiają się ze sobą pazurami, tworząc pęki po dwie, trzy, a nawet i więcej sztuk. Takie kłęby słonek trzepocąc się i szarpiąc, opadają ku ziemi, by nad samą jej powierzchnią rozdzielić się i pojedyńczo wzlecieć znowu ku górze. Rozgrzani walką szermierze, gubią rytm swych chrapiących nawoływań, przeplatanych wysokim gwizdem, wydając tylko jakiś nieartykułowany skrzek, lub pisk. Samica na ciągu zasadniczo żadnego głosu nie wydaje, czasami tylko przestraszona, czy zdziwiona parę razy zaćwierka i milknie znowu. W słonczych zapasach zdobywcą samicy bywa ptak najbardziej waleczny i silny, który potrafi odpędzić zuchwałych rywali, zakłócających jego małżeńskie szczęście. Z chwilą, gdy do gniazda złożone zostanie ostatnie, t. j. czwarte jajko, bo wszystkie bekasy znoszą ich tylko cztery, samica siada na nie i rozpoczyna żmudne wylęganie.

Ma to miejsce w połowie maja, a termin ten jest właściwie końcem słonczych toków, które są najintensywniejsze w czasie od połowy kwietnia do pierwszych dni maja. Samce, które w kłopotach rodzicielskich żadnego udziału nie biorą, kontynuują dalej swe ciągi, poszukując samic, które z jakiejkolwiek bądź przyczyny gniazda dotąd nie usłały, lub którym pierwsze zniesienie zostało zniszczone. To też w miejscach lęgowych można czasami słyszeć ciągnącą długodziubę w czerwcu, a nawet w początkach lipca. Są to jednak tylko sporadyczne wypadki, zaś właściwy koniec toków słonczych przypada w ostatnich dniach maja. O ile chodzi o miejscowości, w których słonki bawią jedynie czasowo, nie pozostając na lęg, to tam ciąg trwa bardzo krótko, nierzadko zaledwie tylko kilka dni marcowych, czy kwietniowych, poczem słonki opuszczają tę okolicę i toku ich aż do przyszłej wiosny już się nie posłyszy. Jak widać z powyższego, ciąg słonek odbywa się przy udziale małej ilości ptaków, najczęściej jednego samca, oraz samicy, a spotkanie się ze sobą kilku samców mąci regularność ciągu, powodując bójki i niepożądany zamęt.

Zupełnie inaczej natomiast odbywa się tok drugiego co do wielkości, z pośród naszych bekasów — dubelta (Galinago maior). W początkach maja, a więc zaraz po przylocie do miejsc lęgowych, rozpoczynają dubelty swoje niezmiernie oryginalne i ciekawe gody, które odbywają się zazwyczaj po zachodzie słońca, lub o brzasku. Czasami ptaki te tokują także podczas ciepłych, księżycowych nocy, zwłaszcza w okresie pełni. Wybierają one w tym celu odludne, wilgotne i odkryte łąki, czy halizny, zrzadka upstrzone krzaczkami, lub porośnięte kępami wysokiej trawy i zbierają się tutaj rokrocznie w znacznych ilościach. Tokowiska takie znajdują się zawsze w pobliżu miejsc lęgowych, a że dubelty lęgną się kolonjami, więc i na tokowisko zlatują się gromadnie, po kilkadziesiąt, lub nawet kilkaset sztuk, w zależności od ilości tej zwierzyny w danej okolicy.

Skoro tylko ponure mroki nocy zaczną się rozpraszać, ukazując nad lasem rąbek srebrzącego się horyzontu, od którego bije ostra jasność — niskim, pośpiesznym lotem nadciągają pojedyńcze dubelty i zapadają na łąkę z burkliwem furknięciem. Przylatują mniej więcej jednocześnie samce i samice. Przez krótką chwilę siedzą ptaki nieruchomo, poczem samce rozpoczynają pieśń tokową. Każdy z nich opuszcza w dół skrzydła, napusza się, roztacza w kształcie wachlarza swój klinowato zakończony ogon, podbity białym puchem i odchyliwszy mocno do tyłu głowę, z zadartym do góry dziobem — zaczyna swój rytmiczny klekot. Są to dźwięki, przypominające głos kaskanietów, czy uderzanych o siebie dwóch suchych kijów. Ciche początkowo i przyśpieszone klaskanie przechodzi w skandowany rytm dziwacznych dźwięków, składających się na całą improwizację, zaznaczoną wyższym tonem końcowym. Coraz to któryś z ptaków wyskoczy w powietrze, nieraz na metr wysoko i klaszcząc ze zdwojoną mocą, upada ponownie na wilgotną darń. Czas jakiś siedzi bez ruchu, jakby upojony przemożnym czarem pieśni miłosnej, potem z gwałtownym spazmem klekotu rzuca się w powietrze i znowu szybko osiada na kępie trawy, obserwując bacznie zuchwałego rywala, co się nieznacznie truchcikiem ku niemu podsuwa. W czasie pieśni zadzierają dubelty do góry głowy i podnoszą ogony, tak, że niemal spotykają się one nad grzbietem z dziobami ptaków.

Para dubeltów drobnym, przyśpieszonym kroczkiem sunie po łące, zbliżając się ku sobie. Klekot ich nabiera dziwnej zaciętości i mocy. Naraz wyprostowują się, wyskakują do góry z głośnym szmermelem pieśni, rzucając sobie wyzwania, aż wreszcie runą na siebie. Biją skrzydłami, dziobią się, rwą szponami, jak obłąkani szaleńcy. Sypie się pierze, pieśń rwie się, traci rytmikę i ton. Jedynie zaciekły charkot wydobywa się z rozdętych gardziołków zapaśników. Walcząca para tarzając się i podskakując — wpada na trzeciego samca i wciąga go też w wir walki. Tymczasem inne dubelty klekocąc dalej, nie okazują najmniejszego zainteresowania powstałą walką, jak również i samice, które kręcą się po tokowisku, nie zwracając uwagi na bijących się samców. Walki tak nie kończą się jednak nigdy zbyt tragicznie, gdyż miękkie dzioby nie są w stanie wyrządzić przeciwnikowi jakiejś poważniejszej szkody. To też rezultatem bójek jest nieco wydartego pierza i fizyczne wyczerpanie zapaśników.

W ciepłe, księżycowe noce, w czasie pełni — tok trwa nieraz aż do świtu, a powietrze dosłownie drży od namiętnego dubleciego krzyku, brzmiącego jak dźwięki tajemniczej jakiejś hiszpańskiej kapeli. Po wysrebrzonej rosą darni przesuwają się i podskakują małe, szare kule, w których oko ludzkie z trudnością potrafi rozróżnić długodziobe ptaki. Widok tokowiska dubelciego, zwłaszcza w księżycową noc, pozostawia w duszy ludzkiej niezatarte wrażenie i życzyć należy, by wszyscy miłośnicy przyrody choć raz w życiu mogli je zobaczyć.

Nastanie kompletnych ciemności w czasie toku wieczornego, a wschód słońca w okresie igrzysk porannych zakańczają turniej. Po zaspokojeniu swych pragnień miłosnych, zaczynają dubelty opuszczać tokowisko. Pierwsze odlatują zapłodnione samice, które śpieszą znieść jeszcze jedno jajko do swego skromnego gniazda, a później odfruwają pojedyńczo i samce. Tokowisko pustoszeje i nic na niem nie zdradza tajemnicy, którą odkryje natura dopiero po zachodzie słońca, lub o brzasku. Instynkt towarzyski jest tak potężnie zakorzeniony w dubeltach, że w okolicach, gdzie tego ptactwa jest niewiele — lecą te ptaki nieraz dość daleko, byle tylko zebrać się gdzieś w pokaźniejszej ilości i wspólnie odbyć gody wiosenne. Dotyczy to zarówno samców, jak i samiczek.

Zdarza się jednak, że teren, na którym przed paru laty odbywały się corocznie toki dubelcie, zostaje z niewiadomych przyczyn opuszczony przez te ptaki, które przenoszą tok gdzie indziej. Często gra tu dużą rolę gospodarka ludzka np. meljoracja i drenowanie błot, bywa jednak, że nic nie narusza spokoju, a jednak dubelty porzucają swe odwieczne tokowiska. I ze smutkiem stwierdzić należy, że pięknych tokowisk bekasich mamy już z rokiem każdym coraz mniej, jak coraz mniej jest ich lęgowisk. A szkoda.

Chrapanie słonek na wiosnę i klekot dubeltów stanowią pieśń godową samców, natomiast tok trzeciego z pośród naszych bekasów — k s z y k a (Gallinago gallinago) jest typową wiosenną grą miłosną. Skoro tylko pierwsze ciepłe podmuchy zerwą lodowe pęta z rzeczułek i strumieni, a łąki i mokradła zajaśnieją zszarzałą zielenią odtajałej, zeszłorocznej trawy — z zamorskich wywczasów powracają kszyki, do stałych miejsc lęgowych, a więc upstrzonych krzakami moczarów, wilgotnych łąk, kępiastych torfowisk i rozpoczynają swe powszechnie znane toki. Obok trelów skowronka i drozda-śpiewaka, jest to pierwsza melodja wiosenna, jaką słyszy się w ciszy wieczoru, lub świtu już nieraz w połowie marca, me-

---

TYTUS KAZIMIERZ KARPOWICZ

Radość życia

(Dokończenie)

Powoli, powoli, rozgadali się — o latach dawnych, o wspólnych chwilach, o łowach wiosennych w ciemnej jeszcze puszczy, o jesiennych, rozśpiewanych gonach na tle pozłocistych makat rozbarwionego lasu — — —

Ognisko im szczerym, radosnym chichotem akompanjowało. Wietrzyk gdzieś kołysał się na zieleniejącym krzewie. Sowa — i ta zdawała się wołać weselej, niż zwykle.

Ciekący niedaleko strumień łamał wszelki żywy dźwięk, wszelki odgłos silniejszy i, jakby chcąc czas zahamować w swym biegu, sączył kroplę po kropli, jedną i tę samą, jedną i tę samą, nieprzerwaną, jak wieczność melodję...

Stary myśliwiec oparł się wygodnie plecami o pień chojara, wyciągnął ku ognisku nogi i, rozpalając węgielkiem czarną fajkę — gawędził.

Młody człowiek słuchał.

Obrócił się twarzą do gwiazd, podłożył ręce pod głowę i, obserwując mały, obrębiony po brzegach srebrną falbanką obłoczek, łowił uchem opowieść leśnego towarzysza.

Nie było mu już zimno i senno — jak wpierw.

Każdy wyraz Andrzeja spadał ciepłem tchnieniem na jego duszę, na jego serce i ciało, na całe jestestwo. Łagodny głos starca był podobny owemu przytłumionemu, radosnemu dźwiękowi, co płynie o wiośnie z zielonej kniei...

Więc słuchał go, jak się słucha świętych kazań proroków, uroczej pieśni ptaków i szumu lasów.

Nawet gwiazdy zaciekawione zdawały się mrugać!

Andrzej, opowiadając, wspomniał też i o ojcu „panicza“, wielkim „ochotniku“. Zamyślony głęboko, jakby wpatrzony w dawne obrazy, nie zwracając uwagi na fajkę, gasnącą w jego palcach — opowiadał:

— Noc była... Taka sama, jak dziś... Tylko — że wiosna była wcześniejsza... Już zielony stał las... Ptaszki po dniach aż zanosiły się od cirykania, i na ziemi sucho już było... Siedzieliśmy z panicza ojcem-nieboszczykiem na wzgóreczku, niedaleko starodrzewia, kawał drogi stąd... Księżyc świecił — taksamo, taksamo cości rozmawiało cichuteńko pod drzewami... Rzeczułka swoje piosneczki gadała: „cichaj... — ciszyna... — cichaj...“ Nieboszczyk ojciec panicza zadumał się, pamiętam, wsparty na rękach, a może słabo mu było... Bo wówczas niezdrów był... Oj, długo chorował — długo... Często żalił się, leżąc we dworze, przy oknie, że lasu dawno nie widział, że strzelba

lodja dobrze znana nawet nie przyrodnikowi i myśliwemu, a poprostu każdemu, kto znalazł się w kwietniu na wsi, w pobliżu mokradeł, czy zalanych wodą łąk.

Samiec, porwawszy się z błota, szybkiemi uderzeniami skrzydeł ukośną linją wznosi się w powietrze na tak znaczną wysokość, iż często nie można go nawet dojrzeć okiem i tam zatacza kręgi, kreśli łuki, opisuje koła, słowem wykonywa najrozmaitsze ewolucje nad okolicą, machając przytem prędko lotami. Aż nagle zatrzymuje się w miejscu i z wyprężonemi skrzydłami o szeroko rozpostartych lotkach pierwszego rzędu — opada ukosem w dół. Przy tej czynności wykonuje on również pewne ruchy skrzydłami, przypominające lekkie falowanie, są one jednak niezwykle szybkie, zlewające się poprostu w jednolite drżenie, które dla oka ludzkiego jest nawet trudno dostrzegalne i daje się zauważyć tylko z bliskiej odległości, lub przez lornetkę. W tej chwili rozlega się donośny, wibrujący głos, przypominający wysoki warkot jakiejś maszyny, pomięszany z beczeniem owcy. W pewnym momencie ptak przerywa swój ześlizg, szybkim lotem wzbija się w powietrze, by za chwilę opaść znowu, nieraz do wysokości kilku zaledwie metrów nad powierzchnią ziemi. Ewolucje takie powtarza raz po raz przez długi okres czasu, często nawet całe godziny. Zmęczony lotem tokowym, kszyk składa skrzydła, zniża się i dopiero nad ziemią machnąwszy parokrotnie lotami, ląduje w pobliżu oczekującej nań samicy.

C. d. n.



WITOŁD ZIEMBICKI

MYŚLISTWO A MUZYKA

(Ciąg dalszy)

Uzupełnienie.

Do ustępu o operze Moniuszki „Hrabina“ (poprzedni numer „Łowca“, str. 74) należy dodać następujące uzupełnienie:

Scena powitania Kazimierza przez powracających z łowów myśliwych i ich śpiew wspólny, już samą swą żwawą i wesołą nutą stwarzają nastrój, zapowiadający pomyślne rozwikłanie. Tekst pieśni tej, jako czysto myśliwski, przytaczam w całości.

Kazimierz i Chór myśliwych (Akt III, scena XIII):

Czy kot, czyli wilk, czy z wyżłem, z ogarem,
Lis, dzik,
Łoś, żbik,
Więc stań, ostro mierz!

Nie ujdzie ni bagnem, ni lasem, ni jarem
Cel, cel,
Pal, pal!
I ledz musi zwierz!

O wschodzie słoneczka, przy rogu odgłosie,
To rozkosz, w kim zdrowa krew drga,
Czatować we kniei, gdy słychać po rosie,
Ćma gończych jak wciąż gra i gra!
O, mile ci, mile te chwile upłyną,
Czyś stał,
Czyś w cwał
Za zwierzem biegł w trop.

---

zgniła na ścianie, że pieski skawęczą z tęskności za biegaczką po jesiennym wygorze... Długo tak było.

Aż wybrał się wtedy, owego wieczoru w las. Przedtem przykazał mi wszystko przygotować, strzelbeczki oczyścić, torby przysposobić. Sporządziłem, jak trzeba. I po kilkunastu pacierzach jazdy bryczuszką — dobili się my do lasu...

Pomagając staremu panu, doszedłem do owego wzgóreczka. Tameśmy przysiedli na wygodnych pniaczkach i — słuchali...

...A było czego słuchać!

Niziutko, pod nami, kędy szczebiotała w rozdole rzeczka, leżały młode lipniaki, gęstwina nieprzebyta, pokręcona dziczyzna... Tam i ówdzie, miejscami, sterczała z niej lipa stara, ogromna, rozłożysta, wystrojona w zielono-żółte kłęby maleńkich listków... Tam to wrzało, jak w dwornej pasiece, od telękań słowiczych...

Śpiewały — to rzadko tak można było słyszeć; jakby każde drzewko, każdy krzaczek dopomagał — bo aż ziemia się trzęsła.

Stary pan podniósł głowę jakby przyrósł okiem do miesięcznej twarzy i, jakiś modlący się, natchniony, jak anioł w naszym wiejskim kościele — słucha onego ptaszęcego wrzątku...

Andrzej przerwał na chwilę opowiadanie; rozruszył ogień, dorzucił sęczków, westchnął głęboko, wsłuchał się w mocarną, ubezwładniającą ciszę nocy, jakby wytropić chciał zew słowiczy, jakby chciał wyssać z lasu przeluby, pamiętny dźwięk.

Ale mu tylko wiatr coś zaszemrał między krzewami, tylko zalśnił w niebieskiej zorzy kwiat śledzienicy...

Cichość i — cichość.

Kołysana w miesięcznym blasku, przepojona śpiesznemi oddechami wszystkich istot, utajonych przy ziemi, a zbudzonych do życia kilka dni temu.

Węgielek strzelił i wypadł za obręb ogniskowego światła. Andrzej stłumił go nogą, wcisnął w wilgotny mech i — kończył rzewną gędźbę...

— Słuchał paniczowy ojciec-nieboszczyk... Nie mówiliśmy nic do siebie, nie przerywali sobie myślący... A tu tymczasem jeden na krzaku: „Ciach... ciach“ — pokrzykiwał; drugi ptaszek „Tiurli, tiurli...“ jemu odpowiadał... A tam niżej, nad rzeczułką — to już, jak całe chóry, wywodzili przeróżne melodyjki...

Kiedy ja spojrzał na świeć Boże jego duszy, starego pana — to twarz jego była jakraz, jak ten miesiączek, bielutka, oczy świecące, a usta, jakby cości szeptem mówiły... Co mówiły — i komu — tego nie wiem... Nie ruszał się — a tylko patrzał przed siebie... Zdawało się, że miał uśmiech na twarzy... Ale i razem łzy zwisały z jego rzęs, dwie wielkie, jak grube śruty, łzy...

Znów stary narrator przerwał; jął chrząkać, bo mu ja-

A wesół, gdy wracasz do domu z zwierzyną,
Do mis, do flach,
Gul, gul, hop, hop!

Ale owo „gul, gul..." miało zastosowanie już przed wyjazdem na łowy. Jakie zaś były tego skutki, objaśnia nas djalog zjawiających się właśnie Chorążego i Podczaszyca (Aktu III, scena XIV):

C h o r ą ż y:

Oj! gracz stary i spudłował!

P o d c z a s z y c:

Lecz jak w tuza jam celował!

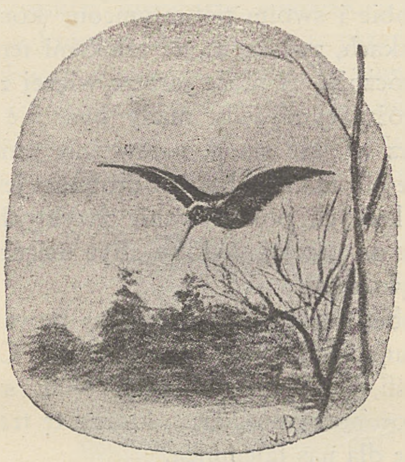
C h o r ą ż y:

Strzelcaś zranił mi biedaka!

P o d c z a s z y c:

Nie tknę więcej zieleniaka...

C. d. n.



ANTONI PISULIŃSKI

Obrazki z życia egzotycznych zwierząt łownych

VI.

SŁOŃ AFRYKAŃSKI

(Ciąg dalszy)

Jeszcze przed pięćdziesięciu laty, niemal cała Afryka środkowa porysowana była staremi drogami słoni, na których od niepamiętnych czasów odbywały się perjodyczne wędrówki tych zwierząt. Utrzymały się one jeszcze do niedawna tu i tam, ale tylko w okolicach, dokąd cywilizacja nie dotarła, a czarny człowiek wędrówkom tych gruboskórców — poważnych nie stawiał przeszkód.

W czasie moich polowań 1888—1891, znalazłem jeszcze takie drogi nad rzeką Szirą (Afryka środkowo-wschodnia), jakkolwiek ich zasięg dawniejszy w kierunku Zambezy znacznie się już skurczył. Nie ulegało wątpliwości, że za kilka lub kilkanaście lat, ślady owych dróg zupełnie znikną.

Ciągnęły się one wzdłuż łańcuchów górskich, brzegi Sziry opasujących najmniej dostępną stronę gór, wśród najdzikszej puszczy, a chociaż przyroda robiła wszystko aby zatrzeć to, co może przez wieki się utrzymywało (bo w ostatnim czasie słonie już tylko przygodnie z tych dróg korzystały) — były one jeszcze w niezłym stanie. Mogłem też i sam z nich korzystać i — oglądając je własnemi oczyma — sprawdzić to, co dotychczas jedynie z ust myśliwych słyszałem.

Mogłem stwierdzić, że drożyny te — to nie ścieżki przypadkowo i na chybił-trafił wydeptane, bo takich było

kaś chrypka osiadła w krtani i goryczą zapiekła, nie pozwalając mówić.

Młody człowiek wzruszony do głębi, leżał bez ruchu; nie pytał o nic, a tylko tropił i tropił po niebie dalekie, przedalekie, jaśniejące tajemnicą światy.

Zdawało mu się, że gdzieś, tam, wyrwany z ziemskiego prochu, czysty, jak czysta jest wszelaka szczera łza — krąży swobodnie między gwiazdami duch jego ojca...

Może nań patrzy teraz, może błogosławi jego czynom, o których tak często śni...

Gdzieś na odległych, niedostępnych bagniskach, w cieniach nocy, spowitych w miesięczną pożogę — trąbią tęsknie żórawie...

Jak hejnał na cześć odległego jeszcze świtania grzmią, przestrzegają ciszę, że czas już myśleć o końcu panowania, bo ze stron dalekich wyrusza już dzień królewicz i wiedzie ze sobą jawne życie i nieprzemożną pieśń...

Centnary myśli zwaliły się na głowę młodego człowieka, obsiadły go zwartą tęgą masą; z jednych jęły się kluć drugie, z tych trzecie i czwarte i piąte... Jedne zbijały się, zwalczały, inne usiłowały popierać się nawzajem, wzmacniać przemądrzałemi sylogizmami.

A potem z tego poplątanego kłębowiska wizyj umysłu i przeróżnych kombinacyj wytrysła jedna, potężna myśl, drogą metafizyczną związana ze wspomnieniem niedawnem o duchu zmarłego ojca... — myśl — zwątpienie...

— Co z tego wszystkiego — myślał — z tych ludzkich, ziemskich poczynań, owianych cierpieniem i nimbem dążenia do doskonałości?... Jak ta woda w wiosennej strudze — toczy się wszystko wolno, wolniutko naprzód; tylko z tą różnicą, że nie ku nizinom płynie, lecz niby coraz wyżej i wyżej... Z postępem... naprzód i naprzód. Do ideału! A gdzież on — ten ideał tajemny, przepotężny, przejasny? Czyż nie stworzyły go długie, spracowane, cierpiące pokolenia ludzkie w swych — stęsknionych za czemś wyższem — wyobraźniach, czyż nie przelało się to abstrakcyjne dążenie z ojca na syna, i to tem potężniejsze, im dalsze było swych źródeł?... Kto odpowie na to pytanie, kto ze śmiertelnych?

Gdzież ludzie ci, co przed wiekami żyli i „czynili dobrze", gdzież dzieła ich, które potem oplwać i w perzynę obrócić potrzebowali ich następcy, by znów, coś stworzywszy — samym na wzgardę potomnych się narazić?... Wdzięczność ludzką osiągnęli tylko za niektóre, pozytywne w oczach późniejszych — wynalazki. Reszta w prochach zdechła, przeklęta przez opinję prawnuków!

Powstali, byli, przeminęli — jak ojciec. Oni stworzyli wiele rzeczy, on — jako jednostka, stworzył oczywiście mniej, ale także coś zrobił... Czy oni wszyscy, owe pokolenia, od zarania ich dziejów po czasy późniejsze, szczęśliwi byli, czy mieli prawdziwą osłodę życia? Co do ojca — jego sobie przypominam... Wiecznie uśmiechnięty, ra-

jeszcze wówczas dużo w tych samych stronach, ale prawdziwe gościńce, ciągnące się setki kilometrów i to w pewnym zdecydowanym kierunku,*) przy celowem wykorzystaniu danego terenu w tym sensie, aby go uczynić najbardziej wygodnym. Szedł on też w najprostszej możliwie linji.

Pomysłowość słoni w wyszukiwaniu najodpowiedniejszych przejść wśród poszarpanego jarami i wąwozami krajobrazu — wprost zadziwiała.

Łukowate, łagodnie wznoszące się podejścia, które opasywały oddzielne góry, lub doskonałe serpentyny, które wiodły na wysokie grzbiety, dawały świadectwo o prawdziwie inżynierskich uzdolnieniach tych zwierząt.

Gdyby te drogi były trzy, lub czterokrotnie szersze, możnaby je wziąć za dzieło inteligentnego człowieka — nawet dla celów ludzkich.

Na takich to drogach przemierzyłem w czasie mych polowań na gruboskórce, dziesiątki kilometrów, i zawsze z niewypowiedzianą ulgą witałem je, kiedy często śmiertelnie znużony odkryłem, że tropiony przezemnie słoń, właśnie na taki zboczył gościniec.

Odrazu zmiana! Z bezdroża, gdzie mało nóg nie powykręcaliśmy, a z trudów przedzierania się przez gąszcze słony pot nas zalewał, wchodziliśmy na stosunkowo szeroką, dobrze udeptaną i czystą drożynę!

Nic nie leży na drodze, nic nie hamuje nóg! Nawet pomioty słoni rzadko widać, bo przeważnie rzucone są poza jej obręb...

Czy ta troska w utrzymywaniu stałej drogi w czystości (na zwykłym tropie dzieje się inaczej) ma jaki związek ze zwyczajem słoni maszerowania „gęsiego", czy tkwi w tem inny jaki wzgląd — orzec trudno, w każdym razie fakt ten jest znamienny.

W górskiej puszczy leśnej spotykasz liczne wiatrołomy. Trzeba często przez nie przełazić, bo zatarasowują drogę lub obchodzić. Nic takiego na starej drodze słoni. Jest wszelkie prawdopodobieństwo, że słonie tego rodzaju przeszkody, przy pierwszej lepszej sposobności usuwają, tak jak usuwają gałęzie, w czasie pochodu przez nie same oberwane, które po odarciu z pożywnej kory, poza ścieżkę odrzucają.

Dzięki tym — jak na afrykańską puszczę — doskonałym gościńcom, mogłem kilkakrotnie przeprowadzić moją dość liczną i ciężkiemi tobołami objuczoną karawanę przez najgorszy teren górski, nie doznawszy większych trudów, a co więcej, nie natrafiwszy na opór tragarzy, jak to się zdarza na złej drodze.

Poznawszy owe drogi, przyszedłem do przekonania, że celem, jaki powodował słonie do wytyczania ich, była chęć ułatwienia sobie i swoim pobratymcom komunikacji na dalekich szlakach, zwłaszcza, że szlakami temi miały wędrować rokrocznie. A może jeszcze więcej z tego względu, że podróżującymi tędy miały być nie pojedyńcze osobniki, lecz wielkie stada, przeważnie samice, i to samice ciężarne lub matki z bardzo drobnem jeszcze potomstwem, dla których pokonywanie zwykłych przeszkód w pochodzie na przełaj, byłoby zbyt uciążliwe, względnie zbyt ryzykowne.

Tak to sobie tłumaczyłem wówczas powstawanie tych dróg, rozumując ludzkiemi kategorjami. Czy to samo mieli na myśli, i czy wogóle zastanawiali się nad tem, pierwsi, czworonożni pionierzy, którzy tę trasę wytyczali — pozostanie dla nas tajemnicą.

*) Kierunek nad Szirą był północno-południowy.

---

dosny, jak ptak na wiosnę... Złoty człowiek — mawiali o nim wszyscy — dlaczego taki był? — bił się młody człowiek z trudnemi myślami.

Po pewnym czasie już, już z usilnie pracujących komórek mózgu miała wypłynąć jako odpowiedź na ostatnie pytanie — długo studjowana, zawiła — wielka w swej cichości myśl. Ale u samych wrót poznana, nieokreślona jeszcze co do formy, utknęła na granicy całkowitego zrozumienia i badawczej nieufności. W tym momencie młody człowiek jakby zamarł; jakby żyć i myślą pracować przestał. Jeden, jedyny tylko zmysł słuchu pozostał z jego różnorakich władz.

Więc słuchał...

W nocnej cichości, za mgłami, na hen-hen przyczajonych w szarych ciemnościach mszarach, na dalekich kurhanach ostrowów — zaczął się bełkot cietrzewi... Mistyczny poklask, bębnienie umarłej duszy w srebrzystą blachę księżyca — czy nocy śpiew?...

Wszechpotężny urok! Szczęścia uśmiech... Błysk złotej źrenicy — radości życia... Wiosennej, nabrzmiałej ruchem i cichą wrzawą bytowania, wiosennej nocy pieśń!...

O! wstańcie, wstańcie wszystkie uroki... Bo ziemia potężna jest. Bo ziemia bogata jest! Bo ziemia piękna!

Bo ziemia radosna i kochana!

— Kto to tak do mnie mówi? — rozmawia ze sobą olśniona dusza młodego człowieka-myśliwego.

Bąk gdzieś zahuczał. Krzyknęła sowa. Kozioł na skraju dąbrowy zabeczał.

Coraz więcej przybywa głosów. Coraz radośniej brzmią. Już i ptactwo drobniutkie budzi się po krzewach i konarach drzew — świergotać o ciepłej pieszczocie słońca zaczyna.

Blednieje, płowieje spojrzenie księżyca. Zcałowywać je zaczyna namiętnie szarolicy, duszący za gardło ciemną noc, ledwie znaczący się na wschodzie świt.

Stary Andrzej nie śpieszy się z opowiadaniem. Nie dba już o ogień, nie podtrzymuje go paliwem. Jakiś posępny, cichy, skulony przywarł plecami do świerku i siedzi bez ruchu — jakby zamarły.

Mija kilka pacierzy — wtedy chrząka i kończy, nie patrząc na swego towarzysza:

— Wróciliśmy prawie o świtaniu do dworu — ziębnięci. Przez cały dzień następny stary pan raźny był, wesoły i uśmiechnięty... Słyszałem, jak odpowiedział paniczowej matce, kiedy pytała, kto go tak szczęśliwie pocieszył... Jak dziś, pamiętam, rzekł: „Las widziałem, noc srebrną w lesie, gdzie brzmiał ptaszęcy śpiew i wody wiosennej radosny szum". Późno w noc, po owym dniu, przy oknie otwartem, wpatrzony w pełniutki gwiazd strop niebieski, w obecności dobrodzieja proboszcza — Bogu ducha oddał, świeć Panie jego duszy... — wyszeptał cicho wzruszony i — zamilkł.

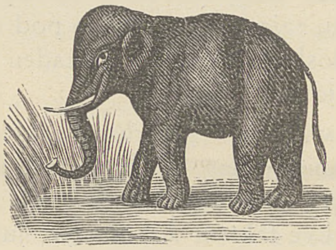
Słoń wyrośnięty ułatwień takich nie potrzebuje. Przeszkód terenowych się nie obawia, najdzikszych gór nie unika, owszem, gdy mu w czemś dogadzają, chętnie tam gości. W pochodach jest wprost niezmordowany, a silny... jak słoń.

Jakkolwiek nie wygląda na zwierzę górskie, porusza się na wielkich wysokościach swobodnie i pewnie, nawet tam, gdzie człowiek, wprawny turysta, musiałby się nieraz zawahać.

Pewność ruchów łączy z nadzwyczajną ostrożnością, a przytem jest niepoślednim ekwilibrystą, jak dowodzą tego sztuczki cyrkowe, wykonywane przez tresowane zwierzęta.

Próbuje niekiedy i słoń dziki karkołomnych wyczynów, a że mu się czasem sztuka nie uda i zrobi „faux pas“, to trudno się dziwić. Nawet czworonogom się zdarza, że tracą równowagę... zwłaszcza, gdy je niepokoją. Najdziwniejsze w tem jest to, że nawet w wypadkach najfatalniejszego karambolu, słoń prawie zawsze wychodził zdrowo.

W myśliwskiej literaturze angielskiej notowany jest wypadek, w którym słoń, umykając przed myśliwym po stromem zboczu górskiem, nagle się zsunął wraz z częścią skały i pokoziołkował w dół głębokiego jaru. I nie poniósł żadnej szkody, jakkolwiek padając zleciał na głowę, a w czasie degrengolady, miał raz głowę, raz nogi w górze, i odwrotnie. C. d. n.



JAN RINGEL

Na wydry

Wiele osób, nawet z grona myśliwych, nie wie, jakie to zmyślne zwierzę ta wydra, ten drapieżnik naszych stawów i rzek, ile trudu ponieść trzeba, by go upolować. Polowanie bowiem na wydry wymaga wiele cierpliwości i czasu.

Najlepiej polować na wydry wczesną wiosną, gdy szuwary jeszcze nie odrosły. Jadąc czółnem, bardzo ostrożnie, można je zobaczyć na jakiejś kępie lub na pozostałym oczerecie, wygrzewające się do słońca. Dobrze jest przejechać się po stawie na małem czółnie i wyszukać jej legowiska, które poznać po pozostawionych obok odchodach. Miejsca te należy zaznaczyć sobie, ale w odległości 3 do 4 m, bo może się zdarzyć, że wydra ślad zauważy i więcej w to miejsce nie wróci. Po kilku dniach można objechać zaznaczone miejsca bardzo ostrożnie, gdyż zwierzę jest czujne.

Przyjemnie jest też wyjechać na polowanie latem o świcie, kiedy woda zupełnie spokojna. Wówczas po ruchu oczeretów, poznać można, którędy wydra płynie. Trzeba wtedy lekko podpłynąć, trzymając strzelbę w pogotowiu. Udaje się wówczas wziąć na cel zwierzę, gdy wystawi łeb dla zaczerpnięcia powietrza. Trzeba szybkiej decyzji — bo gdy tylko zauważy jakikolwiek ruch — daje nurka.

Pewnego razu wyjechałem wczesnym rankiem w szuwary i zatrzymawszy się, zachowywałem się bardzo cicho. W tem zerwało się stadko kaczek, jakby czemś spłoszone. Myślałem że ten popłoch kania spowodowała. Podjechałem bliżej, trzymając strzelbę w pogotowiu. Nagle zauwa-

---

Młody człowiek wciąż myślał.

Żal prysł. W czującej piersi rozwielmożniła się tylko, rozparłszy swe wielorakie korzenie, nieutulona tęsknota. Ale obok niej na gruncie użyźnionym przez umarłe prochy, zaczynał istnieć, rósł coraz to większy, coraz to potężniejszy, mający się niebawem rozrosnąć w posągowy kształt drzewa — młodociany krzew zrozumienia radości życia.

Czyż nie śpiewała mu tego oto przed chwilą czarna, dymiąca pożarem sił wiosenna ziemia? Czyż sam szczęśliwy ojciec nie nakazywał mu przez usta jego najdroższego przyjaciela, starca Andrzeja — umiłować wszechświat, którego życie i piękno są właśnie radością życia takich, jak on — istot?

Zrozumiał odwieczną, prastarą prawdę, która w piersiach pokoleń legła martwa i obrosła chwastami, by nie zbudzić się nigdy, by zaginąć i skutkiem tego nie dać szczęśliwości owym pokoleniom — od przyjścia na świat aż do śmierci — smutnym i samotnym.

Zrozumiał ją i — znalazł odpowiedź na trudne pytanie, które wypływało oddawna, tak często z jego najgłębszych dumań, na pytanie o zagadkę, której rozwiązanie stało się jego życiowym problemem.

Skwierczały węgle w dogasającem ognisku. Syczały — jakby roześmiane — puszczając ze szparek niebieskie pióropuszki dymu.

Księżyc już zapadł za dalekie, czarnosiwe linje lasów. Olbrzymie mgły wstały z czarnoziemów i bagnisk. Jak skrętami kadzideł, jęły spowijać swemi szatami fontanny sosen, koronki olch, lekko obsypujących się zielenią, smukłe kibicie brzóz i tęgie korpusy wiekowych lip.

Świt jaśniał.

Począł się gdzieś, na wschodzie, za mszaryskami, zagubionemi na przestronnej płaszczyźnie i, mając przed sobą niezajętą przez gęste lasy — drogę, jął pędzić na rydwanie szybko rozpylającego się światła.

Jutrznia zakwitła na niebios skłonie. Przecudna — różowa, jak krew dziewicy. I tajemna — jak ona... Lubieżna, cicha i słodko przyczajona — w skupieniu czekająca na akt urodzin upragnionego dnia...

Dwaj łowcy stłumili ognisko, zasypali ziemią — zgasili. Opatrzyli strzelby, torby i skierowali się brzegiem lasu ku mszarom.

— Sam czas... — wyszeptał Andrzej.

— Cudowny czas! — dopowiedział radośnie towarzysz.

Wchłonął ich szczęśliwych rozbulgotany od cietrzewiej pieśni wiosenny mszar...

żyłem łeb wydry. Strzeliłem i ubiłem ją. Później polowałem często w ten sposób i zabiłem wiele tych zwierząt.

Wiosną — lepiej polować popołudniu — wtedy wydra leży spokojnie w legowisku.

Raz, jadąc łodzią po stawie, zauważyłem leżącą wydrę. Podjechałem na odległość strzału. W tem ujrzałem drugą, po prawej stronie. Stojąc jakby w trójkącie, rozmyślałem do której strzelić. Na lewo była większa, na prawo mniejsza. Zastrzelić większą, żal mniejszej. Długo jednak namyślać się nie można. Próbuję z lewej strony strzelić na prawo, niewygodnie, z prawej na lewo — wycelowałem — pif — paf — i obie zostały na miejscu.

Dobrze też polować na wydry w jasne księżycowe, zimowe noce. Często robiłem zasiadki nad rzekami. Mróz był trzaskający, tak, że dzwoniłem zębami, drętwiały ręce. z chwilą jednak, gdy zobaczyłem czarny cień łba, chwytałem strzelbę, nie czułem już zimna. Czatowałem raz, w mroźną noc zimową na wydrę, którą widziałem idącą ze stawu janowskiego przez groblę do rzeki. Liczyłem — że przyjdzie mi pod strzał — niestety — poszła dalej, weszła do rzeki i dała nurka. Biegłem ze 300 m, nie pokazała się, zrzuciłem kożuch i biegłem dalej, nic nie widać. Tak biegłem wzdłuż rzeki, aż do Stradcza, zziajany i spocony. Zatrzymałem się z 15 minut i ujrzałem moją wydrę wynurzającą się z wody na lód. Skryłem się, a kiedy się zbliżyła, wypaliłem. W pobliskiej chacie dostałem sanie i okrycie i pojechałem ze zdobyczą do domu. Tak poluję już 54 lata. Od marca 1880 r. do kwietnia 1934 r. ubiłem 219 wyder. W Olszanicy (pow. Jaworów) w ciągu 10 lat 58 szt., zaś na stawie janowskim, w ciągu 44 lat 161 szt.

Wydaje się to wielką cyfrą, jak na jednego myśliwego, lecz zważywszy, że spędzałem na stawach całe dnie, a niekiedy i noce (jako zarządzający stawem), miałem możność podpatrzeć zwyczaje i usposobienie tych zwierząt. Trwało też kilka lat, nim się wprawiłem.

Gen. WALERY MARYAŃSKI

Łowiectwo a „małokalibrówka"

Coraz częściej czytamy w dziale „Kłusownictwo", że Policja Państw. „przy rewizji u kłusowników skonfiskowała między innemi także sztuciec małokalibrowy, t. zw. „mauzerek" (krótki, kal. 22) lub flobert.

Zdaje się, że duża precyzja tej broni, jej nośność do 100 kroków a nawet i dalej, niska jej cena i amunicji — a przedewszystkiem minimalny huk strzału — spowodowały, że kłusownicy „przechodzą na ten „system".

Do rozpowszechnienia się tej broni i zaznajomienia szerokich mas z nią przyczyniło się to, że jest to broń, którą ćwiczą się żołnierze w przedwstępnem strzelaniu — dalej oddziały przysposobienia wojskowego — a w końcu wszyscy kandydaci do odznaki strzeleckiej P. O. S. Dzisiaj więc jest mniej więcej każdy dorosły chłopak tak na wsi, jak i w mieście należycie obznajomiony z „małokalibrówką".

Do celów kłusowniczych nadają się specjalnie niektóre systemy „małokalibrówki", jak np. „sztucerek japoński", „mauserlein" i jeszcze kilka innych typów, przeznaczonych pierwotnie dla nieletnich studentów — o długości poniżej metra — a charakteryzujące się tem, że o d k r ę c e n i e j e d n e j t y l k o ś r u b k i (i to bez pomocy jakiegokolwiek narzędzia!), wystarcza, by broń rozłożyć na dwie części tj. kolbę i lufę ze zamkiem; kawałek sznurka wystarcza, by obie te części ze sobą złączyć, przewiesić przez szyję, zapiąć kożuch lub „sirak" — i nikt nie będzie nawet przeczuwać, że ma przed sobą uzbrojonego kłusownika; manewr rozłożenia wzgl. ześrubowania broni wymaga najwyżej pół minuty czasu.

Ma jednak „małokalibrówka" w o b e c n e m swojem wydaniu jeden duży brak — a to, że amunicja normalna (czy to „long rifle", czy „long", czy „short") nie zabija dobrze zwierzyny. Nawet marny zając, choć dobrze trafiony i na wylot przestrzelony — idzie po strzale jeszcze nieraz kilkaset kroków, nim padnie; to samo obserwowano na tokach cietrzewi.

Mamy jednak już obecnie gatunek amunicji małokalibrowej, specjalnie do celów myśliwskich przysposobionej, a to „long rifle" z pociskiem o ściętym końcu i tzw. „ekspanzie" (dziurka w pocisku celem łatwiejszej deformacji), która ponoś już lepiej zabija i jest z dobrym skutkiem używaną na tokach.

Te mogą być już dla sarn, lisów i zajęcy niebezpieczniejsze. Cóż łatwiejszego, jak jadąc po drzewo do lasu, podjechać pod „tryzubek" (paśnik dla sarn) i ubić nic nie przeczuwającą sarnę lub na polu, wywożąc nawóz, ubić w legowisku zająca upatrzonego pod skibą. A chłop-kłusownik ma doskonałe oko! Jemu żaden trop, ani żadna zwierzyna nie ujdzie!

Na szczęście większa część kłusowników nie jest jeszcze — przynajmniej u nas — obznajomiona z temi tajemnicami i fortelami „małokalibrówki". Ale czego dziś nie ma — to może być faktem dokonanym jutro, a wówczas biada naszej zwierzynie! Szczególnie mam tu na myśli zające i sarny.

Ten s k r y t o b ó j c z y charakter tej broni czyni ją tem niebezpieczniejszą, że przy odpowiednim wietrze na odległość 300 — 500 kroków — a nawet i mniejszą, żaden gajowy nie usłyszy huku strzału.

Kwestja broni nie dającej huku była już nieraz roztrząsaną z punktu widzenia bezpieczeństwa publicznego wzgl. bandytyzmu i niebezpieczeństwa, jakie ona łowiectwu przynosi.

I tak z początkiem r. 1700 wynaleziono pneumatyczne strzelby w kalibrze 10—15 mm, (t. zw. „Windbüchen"), które wyrzucały okrągłe kule z chyżością 200 — 300 m/sek.

Takiej broni używał landrat Ludwik VIII z Hessen-Darmstadt, jeden z największych myśliwych 18 stulecia i strzelał z niej dziki i jelenie. Legenda opowiada nawet o ubiciu jelenia na 297 kroków.

Również cesarz Józef II, któremu rusznikarz Giromboni model karabinu pneumatycznego przedłożył, akceptował go i część korpusu strzelców w tę broń przezbroić kazał. Karabiny te brały udział w późniejszych czasach w wojnach Austrji przeciw Napoleonowi, który ze względu na skrytobójczy charakter tej broni — a zdaje się głównie ze zwzgl. na jej skuteczność (celny strzał do 150 kroków), kazał każdego jeńca, z tą bronią schwytanego rozstrzeliwać.

Wyrób jednak i używanie tej broni zostały w końcu, mimo swoich dużych zalet, we wszystkich krajach zabronione — prawdopodobnie głównie ze względu na niebezpieczeństwo dostania się jej w ręce bandytów i kłusowników.

Dalej znany jest zabieg kłusowników alpejskich, głównie w Tyrolu i Bawarji, którzy do naboju zamiast prochu dają mały kawałek bawełny strzelniczej, czem osiągają, że strzał jest cichy i głuchy. Bywały już wypadki, że podczas gdy właściciel polowania z dużym nakladem kosztów (nagonka itd.) brał bez skutku miot za miotem na upatrzonego jelenia, kozicę lub kozła — kłusownik w bezpośrednio sąsiadującym miocie ubijał tę zwierzynę — a strzału nikt nie słyszał. (Ile sztućców kłusowniczych pod działaniem za silnej dawki bawełny strzelniczej, rozleciało się w kawałki — to osobny rozdział)

Kto nam dalej zaręczy, czy jakaś fabryka amunicji nie wpadnie na lukratywny (!) pomysł wyrobu jakiejś amunicji do „małokalibrówki" o większej chyżości pocisku i formie, która lepiej zabija?! A co wówczas?

Że nawet zwykły 6 mm nabój flobertowy o okrągłej kulce może być groźnym dla zwierzyny, przytoczę jako przykład z moich studenckich czasów (lat temu 46); mianowicie strzeliłem z takiego flobertu na jakie 25 kroków do kozła, trafiając go w komorę; kozioł oglądnął się w moją stronę, poszedł wolno około 20 — 30 kroków, położył się spokojnie pod krzakiem; po chwili opadła głowa — i nie żył.

Jaki wniosek z tych rozważań?

Otóż przyzna mi każdy, że „zdemokratyzowanie" małokalibrówki przynosi wielkie niebezpieczeństwo dla łowiectwa i to nie tylko dla biednej zwierzyny — lecz także i dla personelu, którego pieczy los jej powierzono. Wszak co chwila czytamy, że „posterunkowy X i Y został w pogoni za kłusownikami śmiertelnie ranny" — sprawca nieznany; czytamy dalej co chwila, że „strażnik łowiecki N. N. został z zasadzki zabity lub ciężko ranny, prawdopodobnie sprawcy kłusownicy, których on zawzięcie ścigał, niestety dotąd nie wykryci". Czytamy już nie pierwszy raz, „że strzałem przez okno został zabity strażnik lasowy lub łowiecki, sprawca dotąd niewykryty".

Bo dzisiejsi kłusownicy to nie są ci z przedwojennych czasów, których grzmociło się laską, odbierało strzelbę i pakowało do kozy; dzisiejszy klusownik to n i e b e z p i e c z n y b a n d y t a w całem tego słowa znaczeniu, który ani chwili nie zawaha się dla okupienia swojej wolności i bezkarności wzgl. zaspokojenia zemsty wpakować kulę w łeb policjantowi lub strażnikowi.

Czy „małokalibrówka" ze skuteczną amunicją nie nadaje się do tego lepiej, niż każda inna broń palna?

Minimalny huk, jak to już nadmieniłem, stosunkowo duża siła przebicia i duża precyzja, łatwość momentalnego rozłożenia i ukrycia karabinka — oto warunki sprzyjające kłusownikowi i bandycie.

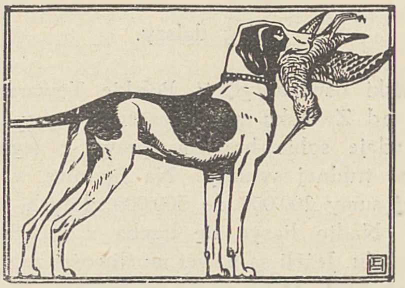
Co jednak na to poradzić?

W dawnych czasach wystarczał zakaz władzy wyrobu i używania jakiejś broni; dziś jest skasowanie małokalibrowej broni choćby ze względu na przysposobienie wojskowe nie do pomyślenia.

Zabronić wyrobu wzgl. importu amunicji myśliwskiej (pocisk z ekspanzą) nie na wiele się przyda, bo kłusownik z łatwością potrafi w normalnym naboju stępić szpic kulki i wywiercić w nim dziurkę.

Nie widząc niestety przy dzisiejszym ustroju społecznym radykalnego środka na zapobieżenie niebezpieczeństwu, jakie „małokalibrówka w ręku bandyty i kłusownika przynosi; zdaje się, że zostanie ona na zawsze tym twardym orzechem do zgryzienia dla naszej policji i straży łowieckiej.

Chyba wyposażenie tych organów w jakieś s p e c j a l n e p r a w a i r o z s z e r z e n i e i c h p r a w s a m o o b r o n y w stosunku do zbrodniarzy posługujących się przy wykonywaniu swego niecnego rzemiosła tą bronią, a dalej d r a k o ń s k i e kary na kłusowników i bandytów zdołają tu coś pomóc.



Żbik w lesie Wolskim

Żbik — ten skryty drapieżca naszych rozległych karpackich puszcz i kniei — rzadko wędruje do zwierzyńców dla celów dydaktyczno-naukowych, natomiast dość często pada od celnych strzałów myśliwych i straży leśnej, a nierzadko też ginie przy kurnikach na chłopskich żelazach.

Zdarza się czasem, że któremuś zwierzyńcowi uda się poszczycić się wyjątkowem szczęściem posiadania żbika i utrzymania go przy życiu przez dłuższy przeciąg czasu wbrew wszelkim dotychczas uzyskanym wynikom w wielu zwierzyńcach.

Żbik ten jest jedynym okazem przetrzymywanym w polskich zwierzyńcach i dlatego właśnie bardzo ciekawym, a temwięcej ciekawym, że żyje w niewoli już przeszło 12 miesięcy i czuje się wcale dobrze. Oswoił się on do tego stopnia, że bez najmniejszej obawy podchodzi czasem po karmę do ręki dozorcy. Za karmę służy mu prawie wszystko: począwszy od kury, kaczki, gołębia, królika, świnki morskiej, myszy, ryby, ustrzelonego ptactwa wszelkiego rodzaju, chleba, kaszy, mleka, kawy, wody, a skończywszy na cielęcinie, koninie i różnej padlinie. Pożera dosłownie wszystko z dobrym apetytem.

Jest on naogół wesołego usposobienia: spaceruje wokół klatki, ma dobry apetyt i zgadza się całkowicie z dodanym mu do towarzystwa kotem i na każdym kroku ustępuje mu miejsca, jakkolwiek w stosunku do innych kotów nie można było tego zaobserwować. Czyżby w tem odgrywało dużą rolę ubarwienie futra? Trudno na to odpowiedzieć, lecz zdaje się, że dobór kota dużą odgrywa tu rolę.

Drgawki szczęk, które zazwyczaj występują u żbików trzymanych w niewoli jako oznaka melancholji, obecnie u żbika w Lesie Wolskim zupełnie zanikły, co znamionuje całkowitą poprawę usposobienia.

Obecnie żbik-kocica marcuje się z dodanym jej do towarzystwa kotem, lecz wątpliwem jest, czy co z tego będzie, gdyż kocur jest o wiele słabszy od niej.

Z powyższego wnioskować należałoby, że Las Wolski jest wprost idealnem miejscem na pomieszczenie zwierzyńca. Jego znaczna wyniosłość terenowa 365 m n. p. m. jest pozbawiona wszelakiej wilgoci, a cisza leśna zapewnia zwierzynie pożądany spokój, zaś różnorodny drzewostan i kilkukilometrowe oddalenie od miast i wszelkich ośrodków zanieczyszczających powietrze, składają się na pierwszorzędne walory zdrowotne, których nie posiada większość ogrodów zoologicznych, rozbudowanych zazwyczaj w miastach, na nizinach i na terenach mocno przetrzebionych z drzewostanu.

Z tych względów zwierzyniec krakowski (jedyny w Małopolsce) ze wszech miar zasługuje na poparcie szerokich warstw społeczeństwa, szczególnie właścicieli dóbr ziemskich i leśników, którzy każdego czasu mogą zasilać go złowionemi przez straż leśno-łowiecką okazami fauny rodzimej.

Należy łudzić się nadzieją, że ze względu na cele doświadczalno-naukowe, miłośnicy żywej przyrody dołożą wszelkich starań, aby zdobyć dla zwierzyńca krakowskiego pożądanego żbika-kocura. Prawie wszystkie większe lasy prywatne i lasy państwowe w Karpatach obfitują w to zwierzę, więc potrzeba tylko trochę trudu ze strony straży leśnej celem wyśledzenia i podebrania z kocierzy młodych żbików lub osaczenia starszej sztuki.

A. K.

Z Polskiego Związku Stow. Łowieckich

Ciąg dalszy.

P. inż. Skulski oświadczył, iż Polskie Towarzystwo Łowieckie nie żąda od Związku podwyższenia sumy, przeznaczonej na komorne, zdaje sobie bowiem sprawę z tego, że Związek znajduje się w trudnej sytuacji. Na budowę własnego domu trzeba znacznej sumy 200.000 do 300.000 złotych, której zebranie nie jest łatwe. Nadto liczyć się trzeba z kosztami urządzenia i utrzymania lokalu. Jeżeli są nawet możliwości zdobycia środków, to i tak budowa domu jest kwestją przyszłości. W chwili obecnej należy zwrócić uwagę w kierunku umocnienia podstaw organizacyjnych. Oddziały Związku muszą spełniać przyjęte na siebie obowiązki, muszą znaleźć energję na pracę pozytywną.

P. inż. Knothe przypomniał, że inicjatywa utworzenia funduszu budowy „Domu Łowieckiego" powstała w roku 1930. Fundusz ten oparty został na groszowych opłatach od sztuk upolowanej zwierzyny. Utworzono Komitet Budowy „Domu Łowieckiego", wydrukowano kwitarjusze i rozesłano je Delegatom Związku, prezesom Stowarzyszeń Związkowych i poszczególnym myśliwym wraz z z odezwami, nawołującemi do zbierania składek. W pierwszym roku wpłynęło około 6.000 zł., później jednak akcja ta osłabła, a właściwie ustała. Po ostatniem posiedzeniu Zarządu liczni jego Członkowie zadeklarowali na fundusz swe obligacje Pożyczki Narodowej. Komitet Budowy „Domu Łowieckiego" stanowią pp.: inż. Knothe, jako przewodniczący, oraz Szperling i Gędziorowski, jako członkowie.

P. gen. Fabrycy przyznaje, że budowa własnego domu pociąga za sobą koszty utrzymania. Wszystko to jednak można skalkulować. Wysiłek ten jest możliwy i konieczny. Oczywiście o przeprowadzeniu się do własnego lokalu już w roku bieżącym nie można myśleć. W obecnych jednak warunkach budżetu powiększać nie należy. Do czasu Walnego Zgromadzenia Związku okaże się, czy Polskie Towarzystwo Łowieckie sprawę obecnych kosztów lokalu będzie mogło rozwiązać pomyślnie, czy też napotka na trudności, w których konieczną stanie się pomoc ze strony Związku. Można też zażądać od Walnego Zgromadzenia uprawnień przekroczenia budżetu w razie tej konieczności. Niezależnie jednak od tego, dla stworzenia oparcia na przyszłość, należy niezwłocznie wznowić działalność Komitetu Budowy „Domu Łowieckiego".

P. Prezes gen. Sosnkowski poparł wniosek p. gen. Fabrycego, wyrażając przekonanie, iż, pod warunkiem zabrania się do dzieła z energją i wiarą, podjęte nanowo starania Komitetu Budowy „Domu Łowieckiego" osiągną pomyślny rezultat.

Po zreasumowaniu dyskusji, p. Prezes gen. Sosnkowski zarządził głosowanie, w którego wyniku Zarząd Związku:

1) zatwierdził przedstawione przez Wydział Wykonawczy sprawozdanie finansowe za rok 1934;

2) uchwalił projekt preliminarza budżetowego na rok 1935;

3) postanowił wznowić działalność Komitetu Budowy „Domu Łowieckiego".

P. Szperling złożył rezygnację z mandatu członka tegoż Komitetu.

Na wniosek p. Skrzypka, Zarząd powołał na członków Komitetu pp.: gen. Fabrycego i gen. Skrzyńskiego, pozostawiając Komitetowi prawo kooptacji.

Zarząd Związku, zgodnie z wnioskami Wydziału Wykonawczego, przyjął w poczet Stowarzyszeń Związkowych:

Radzyńskie Towarzystwo Łowieckie w Radzyniu Podlaskim (członków 21),

Oficerski Klub Myśliwski w Gdyni (członków 15),

Wojskowy Klub Myśliwski w Brześciu n./Bugiem (członków 17),

Klub Hodowców Wyżła Niemieckiego w Warszawie (członków 17).

Prośbę Klubu Hodowców Wyżła Niemieckiego o ustalenie ulgowej składki członkowskiej na rzecz Związku w wysokości 5% od efektywnych wpływów Klubu — postanowiono przedstawić, zgodnie z § 12 statutu Związku, Walnemu Zgromadzeniu z wnioskiem przychylnym.

W ostatnich dniach przed posiedzeniem Zarządu wpłynęła deklaracja Towarzystwa Racjonalnego Myślistwa „Łowiec Wielkopolski" w Poznaniu.

P. Unrug, w imieniu Wielkopolskiego Związku Myśliwych, jako Oddziału Wojewódzkiego, oświadczył, iż Towarzystwo „Łowiec Wielkopolski" najzupełniej zasługuje na przyjęcie do Związku.

Opierając się na tej opinji, Zarząd Związku przyjął Towarzystwo Racjonalnego Myślistwa „Łowiec Wielkopolski" w Poznaniu w poczet Stowarzyszeń Związkowych, postanawiając jednocześnie przedstawić Walnemu Zgromadzeniu z poparciem prośbę wymienionego Towarzystwa o ustalenie odeń ulgowej składki członkowskiej w wysokości 10% od efektywnych wpływów Towarzystwa.

Sprawę projektu reorganizacyjnych uzupełnień statutu Związku postanowiono rozpatrywać łącznie z wiążącemi się sprawami: dalszej działalności Komisji Propagandowej, wydawania legitymacyj związkowych, oraz sprawą zaległości Stowarzyszeń w opłacie składek na rzecz Związku.

Wykaz zaległości składkowych odczytał p. Szperling, stwierdzając, iż w ogólnej sumie tych zaległości zł. 5.618,98, należność od czterech Oddziałów Związku wynosi zł. 3.008,08, a od Stowarzyszeń Związkowych zł. 2.610,90.

P. gen. Fabrycy oświadczył, iż Komisja Statutowa, wobec zbyt krótkiego czasu, nie zdążyła opracować konkretnego projektu uzupełnień statutu, natomiast przedyskutowała już najważniejsze kwestje organizacyjne Związku. Naiistotniejszym brakiem jest brak regulaminu, ściśle ustalającego strukturę organizacyjną Oddziałów, precyzującego ich prawa, obowiązki i formy współdziałania z Centralą. W chwili obecnej sytuacja jest paradoksalna: Stowarzyszenia Ideowe, którym Związek nadał prawa Oddziałów i przywileje, nie wykonują swych obowiązków, wypływających z tego tytułu. Należy odróżnić charakter Oddziałów Związku od charakteru Stowarzyszeń Ideowych, jako takich. Statuty Stowarzyszeń Ideowych nie mogą być podstawą działalności Oddziałów Związku, dla których obowiązujący jest statut Związku. — Obecnie Oddziały są właściwie fikcją, a przez to i Związek sam stałby się fikcją, gdyby sytuacja obecna trwać miała nadal. Wobec bezczynności Oddziałów, samorzutnie powstają powiatowe rady łowieckie. Są już województwa całkowicie zorganizowane. — W tym kierunku należy pójść dalej, stworzyć nowe zasady organizacyjne, uporządkować działalność Oddziałów, dając im obowiązujący regulamin i przestrzegając jego wykonywania. Oddziały muszą rozwinąć działalność w myśl dyrektyw Centrali, składać z czynności swych sprawozdania i regularnie wpłacać składki. Stowarzyszenia polujące nie zalegają w opłatach i rozumieją, że na nich się Związek opiera, ale niechętnie patrzą na to, że Oddziały Związku korzystają z przywilejów, choć nie płacą składek. Ten stan rzeczy musi ulec zasadniczym zmianom. Pierwszem zadaniem Komisji Statutowej jest opracowanie regulaminu dla Oddziałów, a następnie projektu zmian statutu Związku. Prace te jednak wymagają czasu i będą mogły być ukończone w okresie sześciu tygodni.

P. gen. Skrzyński reprezentował Związek na uroczystości poświęcenia sztandaru „Straży Łowieckiej", zorganizowanej przez delegata Związku w powiecie płońskim (woj. warszawskie), inż. Korybut-Daszkiewicza. Delegat ten potrafił sprawami łowiectwa zainteresować starostę, który nie jest myśliwym, do tego stopnia, iż starosta ten za szczególne popieranie łowiectwa odznaczony został przez Związek Złotym Medalem Zasługi Łowieckiej. Delegat

ten zainicjował i wspólnie ze starostą przeprowadził utworzenie funduszu łowieckiego w powiecie. Dalej, Delegat ten zorganizował i wyszkolił strażników łowieckich z całego powiatu, których obecnie jest przeszło czterdziestu. Dowodzi to, że przy dobrych chęciach i energji ze strony Delegatów Związku wiele można zdziałać na terenie powiatu. Powiat płoński zorganizowany jest pod względem łowieckim wzorowo i winien służyć za przykład dla wszystkich innych powiatów. Na takich podstawach oparta organizacja Związku byłaby silna i trwała. W tym też kierunku powinna pójść działalność Oddziałów Związku. Oddziały te muszą podporządkować się Centrali i spełniać swe obowiązki tak w stosunku do terenu swego działania, jak i w stosunku do Związku.

P. Prezes gen. Sosnkowski zaznaczył, że wobec konieczności pozostawienia Komisji Statutowej okresu sześciu tygodni na opracowanie wniosków, termin Walnego Zgromadzenia Związku należy przesunąć na koniec czerwca, przedtem zaś odbyć jedno, lub — gdy okaże się potrzeba — więcej posiedzeń Zarządu dla przedyskutowania tez organizacyjnych, przedstawionych przez Komisję. Celem dzisiejszej dyskusji jest dostarczenie Komisji dalszego materjału. Łączy się z tem konieczność rozstrzygnięcia pewnych kwestyj. Na posiedzeniu Zarządu Związku w dniu 5 listopada r. ub., przy udziale przedstawicieli Oddziałów, uchwalono wprowadzenie jednolitych legitymacyj dla członków Oddziałów i Stowarzyszeń Związkowych. Oddziały jednak wystąpiły przeciw wprowadzeniu legitymacyj związkowych. Sprawa ta winna być dziś zdecydowana, jak również sprawa jednania członków popierających.

P. szamb. Komierowski wyjaśnił, że Pomorskie Towarzystwo Łowieckie wystąpiło przeciw wprowadzeniu legitymacyj związkowych, gdyż widziało w tem pewną dwutorowość organizacyjną w terenie, co uważa za szkodliwe dla ogółu. Struktura organizacyjna powinna być następująca: Związek, Oddział i Stowarzyszenia polujące, przyczem Oddział powinien obejmować nie więcej, niż jedno województwo. Jeśli Oddział Związku ma mieć autorytet, Centrala nie powinna działać bezpośrednio na terenie Oddziału, a tylko za jego pośrednictwem. Oczywiście, Oddziały muszą podporządkować się Związkowi, jeżeli zaś nie będą spełniały swych obowiązków, to należy je likwidować i wówczas pracę organizacyjną rozpocząć w terenie bezpośrednio. W chwili obecnej Oddziały walczą z poważnemi trudnościami finansowemi, co stanowi ogromną przeszkodę w ich działalności. Regulamin dla Oddziałów jest konieczny. Byłoby bardzo pożądanem, aby regulamin ten opracowany został w porozumieniu z Oddziałami.

P. Prezes gen. Sosnkowski oświadczył, że jest zwolennikiem rzeczowości, unikającej niebezpiecznych złudzeń. Sytuację i możliwości Centrali należy rozważyć, kierując się zasadami zdrowego rozsądku. Związek nasz jest „Związkiem Związków": z natury rzeczy przypada mu rola reprezentacyjna w rzeczowem znaczeniu tego słowa, a więc zadanie inicjatywy, koordynowania działalności organizacyj terytorjalnych, zastępowania interesów łowiectwa wobec Rządu i czynników ustawodawczych. P. Prezes jest zdecydowanym zwolennikiem decentralizacji, dla następujących powodów:

a) Jest nie do pomyślenia, aby Związek mógł sam i b e z p o ś r e d n i o administrować sprawami łowiectwa w terenie. Nawet gdyby Związek zyskał przez nowelizację ustawy wyraźne podstawy prawne dla półurzędowego dysponowania w terenie oraz środki materjalne na utrzymywanie niezbędnego w tym wypadku sztabu płatnych funkcjonarjuszów, to i wówczas centralizacja byłaby możliwa jedynie w pewnych rozsądnych granicach.

b) Siła Związku powstać i rozwinąć się może przez siłę organizacji w terenie.

c) Należy przyjąć, że t. zw. „Towarzystwa Ideowe" składają się z elementów najenergiczniejszych, najaktywniejszych i najszczerzej sprawie łowiectwa oddanych, przyczem pod nazwą „Towarzystw Ideowych" p. Prezes rozumie zrzeszenia, pracujące społecznie, nie zaś istniejące jedynie dla celów bądź co bądź egoistycznych, mianowicie dla wykonywania polowania. To był przecież właściwy powód, dla którego istniejące „Towarzystwa Ideowe" otrzymały prawa Oddziałów Związku, centralnej instytucji społecznej, polskiego łowiectwa.

P. Prezes gen. Sosnkowski widzi następujący zarys zasad organizacyjnych, które proponuje ze swej strony jako materjał dyskusyjny dla Komisji Statutowej.

1) Ustala się minimalny budżet Związku; budżet ten jest pokryty przez ryczałtową repartycję pomiędzy poszczególne organizacje terytorjalne, korzystające z praw Oddziałów, wedle pewnego klucza, biorąc przytem pod uwagę różnice warunków lokalnych. Klucz repartycji minimalnego budżetu uchwala Walne Zgromadzenie. Kwoty, przypadające z repartycji, wpłacane są do kasy Związku w ratach kwartalnych. Jest rzeczą organizacyj, korzystających z praw Oddziałów Związku, zdobyć taką ilość członków, aby zapewnić regularne uiszczanie kwartalnych ryczałtów budżetowych na rzecz Centrali. Powiększenie ilości członków możliwe jest albo przez generalne i wydatne obniżenie składek, albo przez wprowadzenie dwóch kategoryj opłat: członków rzeczywistych, opłacających składki w dotychczasowej wysokości, i członków zwykłych, opłacających składkę zniżoną. Jeśli ilość członków Oddziału, względnie organizacji, korzystającej z praw Oddziału, wzrośnie w taki sposób, że 10%, obliczone od składek, da nadwyżkę w stosunku do ryczałtu, to nadwyżka ta odprowadzana jest do kasy Związku.

2) Z pośród innych obowiązków Oddziału (względnie organizacji, korzystającej z praw Oddziału), należy przedewszystkiem wymienić:

a) utrzymywanie kontaktu z Delegatami Powiatowymi Związku, kontrolowanie ich pracy w terenie i pracy sprawozdawczej,

b) zorganizowanie Wojewódzkich i Powiatowych Rad Łowieckich, jako organów opinjodawczych, funkcjonujących przy odnośnej władzy administracyjno-politycznej,

c) składanie Zarządowi Związku perjodycznych (kwartalnych) sprawozdań z działalności Oddziału.

3) Oddział Związku (względnie organizacja, korzystająca z praw Oddziału) jest pośrednią instancją Związku w stosunku do Delegatów Powiatowych i Rad Łowieckich. Oddział Związku ma przywilej wyłączności organizacyjnej na swym terenie, Centrala w stosunku do tego terenu zrzeka się indywidualnego werbowania członków. Przywilej powyższy nie dotyczy jednak łowieckich (lub pokrewnych łowiectwu) zrzeszeń eksterytorjalnych, oraz statutowych kółek łowieckich, które, zależnie od swej woli, mogą się zrzeszać bezpośrednio w Centrali.

Jeśli w tej, czy innej formie wcielona będzie w życie zasada przymusowego zrzeszania posiadaczy kart łowieckich, wtedy zrzeszanie to odbywać się będzie w ramach organizacyjnych Oddziałów, jednak ewentualne opłaty od kart łowieckich wpływać będą wprost do kasy Związku, który wyznaczy swym Oddziałom odpowiednie subwencje.

4) Statut organizacji, korzystającej z praw Oddziału, musi być uzgodniony ze statutem Związku; nazwa takiej organizacji musi być w odpowiedni sposób uzupełniona i uzewnętrzniona na blankietach korespondencyjnych, legitymacjach i t. d. — np.:

„Wielkopolski Związek Myśliwych" (druk)
Oddział P. Z. S. Ł. (stampila)

5) Organizacja, korzystająca z praw Oddziału Związku, która zaniedba dopełnienia swych obowiązków, a w szczególności zalegać będzie dłużej, aniżeli 3 miesiące, z opłatą budżetowego ryczałtu kwartalnego — przestaje być Oddziałem, staje się zwykłem stowarzyszeniem statutowem, zrzeszonem w Związku i traci w stosunku do odnośnego terenu przywilej wyłączności organizacyjnej w sensie, określonym powyżej; natomiast Centrala odzyskuje swobodę indywidualnego werbowania członków, bezpośredniego powoływania Rad Wojewódzkich i Powiatowych, aż do czasu zorganizowania nowego Oddziału Związku.

P. red. Garczyński zaznaczył, iż od chwili utworzenia Oddziałów, przedmiotem obrad Zarządu Związku często bywają nieporozumienia między niemi i Centralą, a przecież Związek i Oddziały wspólne mają zadanie rozwoju organizacyjnego i walki z trudnościami. Związkowi bynajmniej nie chodzi o centralizację, ani też o ograniczenie działalności Oddziałów, a wręcz przeciwnie. Dotychczas jednak działalność ta nie weszła na właściwe tory, czego dowodem jest, że dotąd nie został wydany regulamin Oddziałów, przewidziany § 19 statutu Związku. W postanowieniach, dotyczących działalności Związku i jego Oddziałów istnieje cały

szereg niedomówień, będących źródłem różnych nieporozumień, i uporządkowanie tych stosunków staje się palącą koniecznością i dla przyszłego rozwoju Związku. Oddziały nie rozpoczęły swej istotnej pracy, nie odróżniają dotąd swego podwójnego charakteru Oddziałów jako Stowarzyszeń Ideowych, korzystających z praw Oddziałów i Stowarzyszeń Ideowych. Statutem dla Oddziałów jest statut Związku, one jednak rządzą się odrębnemi statutami Stowarzyszeń ideowych, korzystających z praw Oddziałów, przysługują prawa Wydziału Wykonawczego Związku. Wpływ jednak Zarządu Związku na zarządy Oddziałów jest ograniczony, gdyż Zarząd Związku, posiadając prawo desygnowania i odwoływania członków Wydziału Wykonawczego — prawa tego w stosunku do zarządów Oddziałów nie ma. Oddziały nie wypełniają swych obowiązków, tłumacząc się brakiem środków. Przyczyną tego jest brak możności rozwoju Oddziałów, spowodowany odseparowaniem się ich od ogółu myśliwych przez pobieranie wysokich składek. Oddziały muszą wypełniać swe obowiązki, muszą działać w kierunku rozwoju organizacyjnego Związku, muszą wejść na nowe tory.

P. Unrug, w imieniu Wielkopolskiego Związku Myśliwych, oświadczył, iż z prawdziwem zadowoleniem przyjmuje wyjaśnienia, jakie usłyszał w dzisiejszej dyskusji, i wyraża przekonanie, że rozdźwięk między Oddziałami i Centralą, wywołany nieporozumieniem, zostanie załatwiony. Decentralizacja w działalności Związku jest konieczna, gdyż bezpośredni kontakt z ogółem myśliwych mogą utrzymać tylko oddziały terytorjalne. Jeśli dotychczasowa działalność Oddziałów nie szła właściwemi drogami, to przyczyną tego jest bardzo ciężkie położenie materjalne Oddziałów. Wielkopolski Związek Myśliwych zdaje sobie sprawę z zaległości w opłacie składek na rzecz Centrali, pomimo jednak najszczerszych chęci, odrazu zaległości tych pokryć nie można, gdyż w kasie nie ma pieniędzy. Opracowanie regulaminu dla Oddziałów jest celowe i ważne. Byłoby też bardzo pożądanem, aby w pracy nad regulaminem tym wzięli udział przedstawiciele Oddziałów, albo aby Oddziałom dana była możność wypowiedzenia się w tej sprawie. Kwestja tworzenia Wojewódzkich i Powiatowych Rad Łowieckich jest niezmiernie trudna, wobec rozprószenia sił na obszarach działania Oddziałów. W tej mierze powinny wyjść z Centrali konkretne dyrektywy. P. Unrug wyraża dalej przekonanie, że na terenie województwa poznańskiego można śmiało liczyć na pozyskanie 1.000 członków, którzy składkę do Centrali w wysokości zł. 5 rocznie chętnie będą płacili. Z osiągniętej sumy Związek mógłby wówczas dać Oddziałowi subsydjum.

P. Chrzanowski zwrócił się z prośbą do Komisji Statutowej, aby po ukończeniu prac nad projektem regulaminu dla Oddziałów, projekt ten przesłany został wszystkim Członkom Zarządu Związku przed posiedzeniem Zarządu, na którem będzie dyskutowany. P. Chrzanowski oświadczył dalej, że Małopolskie Towarzystwo Łowieckie dąży do tego, aby obowiązki swe, jako Oddział Związku, wykonywać, napotyka jednak na nieprzezwyciężone trudności finansowe. Protest Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego przeciwko wprowadzeniu legitymacyj związkowych spowodowany był obawą, że wprowadzenie legitymacyj tych poderwałoby autorytet i groziłoby bytowi Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego.

P. Skrzypek, jako przewodniczący Komisji Propagandowej, złożył okresowe sprawozdanie z prac Komisji i prosił o dyrektywy co do dalszej jej działalności.

P. Prezes gen. Sosnkowski podkreślił, że dzisiejsza dyskusja organizacyjna stanowić będzie materjał dla prac Komisji Statutowej. Następnie p. Prezes poddał rozstrzygnięciu kwestje: dalszej działalności Komisji Propagandowej, wydawania legitymacyj związkowych oraz sprawę zaległości Stowarzyszeń w opłacie składek.

Zarząd Związku uznał potrzebę dalszej działalności propagandowej i polecił Komisji Propagandowej dalszą akcję.

Zarząd Związku postanowił utrzymać w mocy uchwałę swą z dnia 5 listopada r. ub., powziętą przy udziale przedstawicieli Oddziałów Związku, a wprowadzającą jednolite legitymacje związkowe, uznając, że legitymacje te, jako symbol przynależności do Związku, w niczem nie podrywają autorytetu oddziałów i mogą być wydawane obok dotychczasowych legitymacyj Oddziałów. Legitymacje te wydawane będą przez Związek za pośrednictwem Oddziałów.

Zarząd postanowił, iż akcja bezpośredniego werbowania członków popierających Związku prowadzona będzie tylko na terenie działania tych Oddziałów, które nie mają pod tym względem zastrzeżeń.

Zarząd postanowił jednak przyjąć na członków popierających Związku wszystkie osoby, które akces swój zgłosiły przed terminem dzisiejszego posiedzenia. (Wykaz przyjętych członków popierających dołączony zostaje do niniejszego protokółu).

W sprawie zaległości Stowarzyszeń Związkowych w opłacie składek zabrał głos p. prezes Szperling, stawiając wniosek o wykreślenie Stowarzyszeń, których zaległości sięgają poza rok 1934 wstecz.

P. Skrzypek nadmienił, że zgodnie z brzmieniem § 14 statutu Związku, kwalifikują się do wykreślenia 4 Oddziały i 26 Stowarzyszeń polujących. Należałoby jednak poprzestać na wykreśleniu Stowarzyszeń, zalegających dłużej, niż za rok.

(Dok. nast.)

SPROSTOWANIE.

W artykule moim p. t. „Mieszanie prochu dymnego z bezdymnym”, została umieszczona z powodu nieporozumienia uwaga, że mieszankę prochu bezdymnego z dymnym sprzedaje Warsz. Spółka Myśliwska w Warszawie.

Nie odpowiada to istotnemu stanowi rzeczy, albowiem firma ta prochu zupełnie na sprzedaż nie oferuje; prostuję przeto niniejszą uwagę i wyrażam P. T. Firmie ubolewanie z tego powodu.

Z poważaniem
Inż. Walery Maryański, gen.

TREŚĆ NUMERU 8:

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, I p. schody 5, drzwi Nr. 44 (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) Godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małop. Tow. Łow. we wtorki i piątki o godz. 12-tej. Redakcja nie zwraca rękopisów już drukowanych i zastrzega sobie konieczne zmiany i skróty. — Adres telegramów: „Łowiec”, Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 218-59. — Oddział w Krakowie, ul. Kremerowska 12, P. K. O. 405.265.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek. Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego.
Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Tel. Nr. 204-32.